

„Literaci”

(Dokończenie ze strony 4)

Tomik pięknie wydany, w twardej oprawie, a jego szatę graficzną stanowiły reprodukcje dzieł wybitnych malarzy. Autorem owego koszmaru była osoba znana: wybitny naukowiec politechniki, zajmujący wysokie stanowiska, nagradzany i odznaczany (słusznie!) autorytet moralny środowiska. Na dodatek wzorowy mąż, ojciec oraz dziadek. Słowem, ideał i wzór cnót wszelakich. I oto ten niezwykle człowiek, duma miasta, który w życiu osiągnął prawie wszystko, postanowił, że musi się jeszcze dowartościować, zostając... poetą. Skoro na przykład taka Wisława dostała Nobla, to może on też?! A że był niezwykle ambitny, doszedł do wniosku, że profesor zwyczajny musi zostać nadzwyczajnym poetą!

Z wydaniem tomiku nie było najmniejszego problemu. Słowo wstępne napisał sam burmistrz miasta, a na ostatniej stronie kilkadziesiąt zachwyty zamieściły miejscowe autorytety, choć jestem przekonany, że zdawali sobie sprawę z żałosnej zawartości książeczki. Jeśli nie, to tym gorzej i straszniej. I nikt nie miał odwagi krzyknąć (jak chłopczyk w baśni Andersena, że „król jest nagi!”), iż te rymowanki wybitnego naukowca to ramota, szmira, grafomania, i idiotyzmy totalne! Później odbyło się, w reprezentacyjnej sali ratusza, spotkanie, prezentujące wydany tomik oraz narodziny nowego „poety”. Zjawili się wszyscy liczący się w mieście: przedstawiciele władz, biznesu, nauki i kultury, a nawet kościół – tym bardziej tym razem na miejscu, że były to wiersze religijne. Pan profesor, drżącym ze wzruszenia głosem, czytał swoje wycieczki, widzowie słuchali z przejęciem i w nabożnym skupieniu, które było co jakiś czas przerywane nastrojowymi dźwiękami zabytkowej harfy, obsługiwanej przez równie zabytkową, acz fałszującą niemiłosiernie harfistkę. Gdy autor skończył, zapanowała cisza jak makiem zasiał. Zaraz potem rozległy się burzliwe oklaski, przekształcające się w owację na stojąco. Wylało się też morze dziękczynnych mów, gratulacji, łanów kwiatów i niezliczonych cmokań zaczerwienionej podwyższonym ciśnieniem i emocjami buzi. Wzruszenie „poety” było szczere, spontaniczne i tak wielkie, że nie było go stać na więcej, niżli znamienne słowa:

– Jestem taki szczęśliwy... Nie spodziewałem się... Ale nie zawiodę państwa i obiecuję, że jeszcze w tym roku ukażą się... kolejne dwa tomiki!

Nie wiedziałem, co począć: czy zapaść się pod ziemię ze wstydu, czy pęknąć ze śmiechu. Wtedy stała się rzecz straszna: bohater wieczoru podszedł do mnie, i na oczach wniebowziętych wielbicieli zapytał:

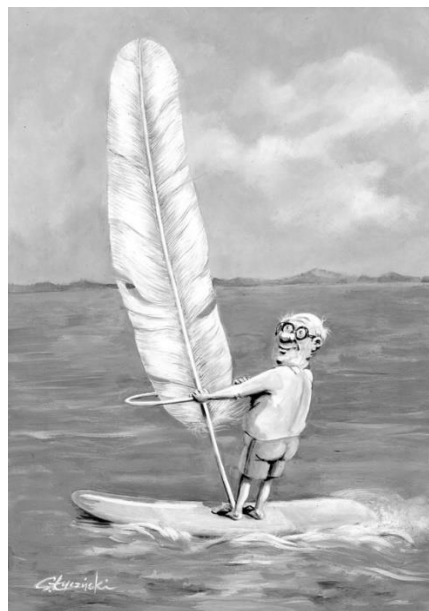
– A pan co sądzi o moich wierszach?!

Do dzisiaj mam kaca moralnego, bo stchórzyłem!! Stałem się cykorem i trzęsidupką!!! Wziąłem czynny udział w tym żałosnym spektaklu próżności i wydukałem tylko, że jestem przekonany, iż te wzruszające wiersze pisał człowiek głębokiej wiary... To prawda,

natomiast po stokroć ważniejszą prawdę stanowią fakt, iż wierszydła były totalnie koszmarnie! Niestety, zabrakło mi odwagi cywilnej, by to wprost i jednoznacznie powiedzieć. Gdy o tym myślę, jeszcze dziś czuję się fatalnie, z zasadnym poczuciem wielkiej winy...

Te trzy banalne historyjki – które można by mnożyć – obrazują, jak wielka jest chęć publikacji, pokazania się, zaistnienia, parcie na... druk!

Rodzi się też głębsza refleksja: jak istotna jest świadomość własnych predyspozycji, ale też własnych ograniczeń, tak, by talenty pomnażać (jak zapisano w najmądrzejszej Księdze!), a niemożności przyjąć z pokorą i nie trwonić sił nadaremno. Bo to tak, jakby słoń chciał zostać motylem. I choćby w to wierzył oraz ćwiczył całymi latami, wachlując uszami, to i tak nie poprutnie. A i motyl nie uniesie swoją lichą trąbką kłody drewna, choćby całe wieki trenował kulturystykę. Ważne to szczególnie dzisiaj, gdy o publikacji decyduje najczęściej nie wartość proponowanych „dzieł”, a pieniądze, zaradność, siła przebicia, operatywność, autoreklama, „parcie na szkło” i „na papier”. Marnotrawstwo papieru jest obecnie chyba największe w całych dziejach ludzkości, ale papier wszystko wytrzyma, więc marnotrawstwo też!



Rys. Sławomir Łuczyński

Tutaj pojawia się dręczące pytanie: czy każdy może pisać i w dodatku jeszcze publikować??? Odpowiedź jest krótka: może! Ale czy mu wolno, czy powinien? Można, oczywiście, stwierdzić, że pisanie to niegroźne dziwactwo, bzik, pożyteczne zabijanie czasu w grupkach wzajemnej adoracji, towarzyskie spotkania, będące namiastką życia literackiego, chęć stadnych działań, nowe znajomości pokrewnych dusz (a czasem i cia!), realizacja niespełnionych marzeń o młodości na emeryturze, zapełnianie samotności, konik na biegunach wyobraźni... Niestety, dzisiaj jest to niebezpieczne, ponieważ istnieje niewiele ogólnopolskich pism, zajmujących się literaturą i obiektywną krytyką (zakładamy, że taka może być), a w podziemiach wierszy oraz niezliczonej ilości

antologii (nawet międzynarodowych na poziomie sołectwo-gminnym!) toną, a nawet nie mogą wypłynąć autentyczne talenty!

Oczywiście, grafomańskie wiersze nie przetrwają, a beztalencja nie przejdą do historii, ale mogą czynić i czynią spustoszenie w głowach (nielicznych niestety) zdezorientowanych czytelników. Dodatkowo media społecznościowe pozwalają na wszystko, także na bezkarne lansowanie się rzeszom, tłumom, nieprzeliczonej cizbie piszących wiersze, a spragnionych chwwały i sławy. Najczęściej owi autorzy (głównie panie) proponują przelane na papier (czyt. ekran) porywy duszy, wzbogacone fotkami samych autorek albo reprodukcjami dzieł malarzy (tu wchodzi też panowie), które są po wielokroć ciekawsze niż główny „produkt”, a mają tylko uatrakcyjnić „poezję”, ukryć nieporadności, czy sprawić, że nędzna rymowanka załśni w atrakcyjnym towarzystwie. Mówiąc obrazowo, to podróbka hipermarketów, w których najważniejsze jest... opakowanie! Stąd liczne łańcuszki z wierszykami, konkursiki z dyplomikami, nagrodziki przyznawane samym sobie, blogi, grupki, podgrupki, ćwierćgrupki oraz relacje z „wielkich” imprez z udziałem... kilku przypadkowych widzów (jeszcze przed pandemią)...

Czemu o tym piszę? Bo jestem nie z tej epoki, a debiutowałem w czasach, gdy profesjonalne wydawnictwa (tylko takie wtedy istniały) drukowały dwa debiutanckie tomiki... rocznie! Czekano na to około trzech lat! W prestiżowych, organizowanych wtedy konkursach (np. w Łódzkiej Wiosnie Poetów, czy w poznańskim Konkursie im. Klemensa Janickiego), brało udział około tysiąca autorów, więc zdobyte nagrody rzeczywiście coś znaczyły! Oczywiście, to również nie było normalne! Wszak już staro Grecy Rzymianie słusznie zauważyli, że najważniejszy jest złoty środek. A my współcześnie tułamy się po szarych obrzeżach, oszukując siebie i naiwnych bliźnich, wmawiając światu, że jesteśmy wybitni! Chyba w stwarzaniu pozorów! I pewnie do głowy by nie przyszło genialnemu Mikołajowi Kopernikowi, że sformułowane przez niego prawo ekonomiczne sprzed ładnych kilkuset lat, zgodnie z którym „zły pieniądz wypiera lepszy”, znajdzie zastosowanie także w tak niewymiernej dziedzinie, jaką jest poezja, albo posłużmy się bezpieczniejszym stwierdzeniem, pisanie tekstów (by nie obrażać poezji!). Żyjemy jednak w świecie fałszu, zakłamań, braku autorytetów, byle jakości i brnięcia w chaos, więc i słowo pisane porywane jest nurtem smętno-mętnej rzeki bez brzegów. Tym większa winna być odpowiedzialność rozumnych istot za Słowo, Dobre Słowo. I smutno, choć perlisty śmiech się sypie groszkiem (rzucanym o ścianę) gdy strawestujemy słowa piosenki, zaśpiewanej wspaniale przez Jerzego Stuhra: Pisać każdy może, trochę lepiej, lub trochę gorzej..., ja się wcale nie chwale, ja po prostu niestety mam talent...

W prozaicznej rzeczywistości wiążącość jednak niestety, nie ma talentu, który dany jest przez nieobliczalną i nieprzekupną Naturę tylko nielicznym wybrańcom...

Juliusz Wątroba